Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

NR 35 (2235) | WTOREK 1 maja 1973 r. | CENA 50 GROSZY

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 WARSZAWA

Ludzie codziennej przygody

Ech, ta droga...

WIOSENNY CIEPŁY WIECZÓR. Płonące ognisko na środku placu ograniczonego drewnianymi wozami Drzymały. Słychać warkot przejeżdżających gdzieś blisko samochodów, czasami niespodziewany klakson. Obóz cyrkowców? Cyganów? Nie. Ekipa robotników drogowych kładących nowy asfalt i poszerzających stary trakt z Rzeszowa do Jasła.

Siedzę teraz z nimi przy ogniu, obracam na patyku piekącą się w płomieniach kiełbaskę i słucham.

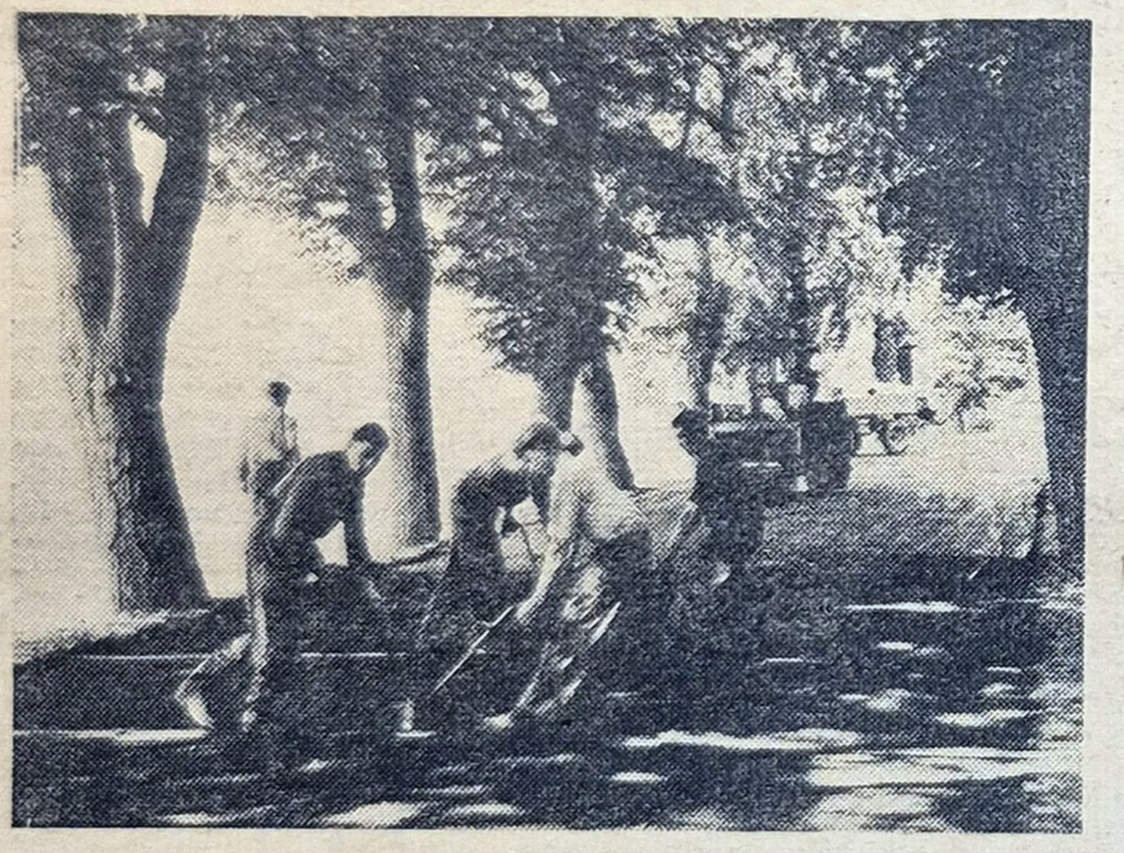

— To ciężka robota — mówi Jan Bodalski. — Mamy spartańskie warunki, jesteśmy z daleka od domu... Ale jak ktoś lubi życie trampa i dzieci w domu nie płaczą, można wytrzymać. Z kolegami jest wesoło. Człowiek się nie nudzi. Czasami idziemy po pracy do wsi na zabawę, do najbliższego miasta się wyskoczy. Mamy tu dwa motocykle. Dziewczyny też ładne w okolicy. Niejeden już sobie w ten sposób żonę znalazł. A jak jesteśmy bardzo zmęczeni i nikomu nie chce się z miejsca ruszyć, to wychodzimy przed te swoje budy, rozpalamy ognisko, pieczemy kartofle albo kiełbaski i gadamy. O czym? O życiu... Niech się pan nie śmieje. Poważnie, o życiu rozmawiamy. Jak się urządzimy, kto co chciałby osiągnąć... Bo przecież wiecznie na drogach nie będziemy pracować.

C. d. na str. 4

W ten dzień drzewcami
sztandarów są drzewa,
w ten dzień zwierciadłem
oczu jest niebo.
Jedno nam światło
twarze zalewa
i w krokach wszystkich
jest krok każdego.

MIECZYSŁAW JASTRUN

BUMS!

Kapitan Błysk dziękuje za raporty!

Przejrzałem dziś najnowszy plik korespondencji od brygad BUMSu. Na szczególne podziękowanie zasługują:

- **Zastęp „Marionetek" z Kościana za uporządkowanie mogił nieznanych żołnierzy przed 1 Maja;**
- **Klasa VIIa ze Szkoły Podstawowej w Milejowie za obcięcie żywopłotu i sadzenie drzewek wokół szkoły;**
- **Trzyosobowa Brygada BUMS Janka Piliponka z Rybanowic za porządki na przystanku PKS;**
- **Hala Rajczak (z koleżanką) z Warszawy, za zakładanie budek lęgowych dla ptaków w Lasku Bielańskim.**

BŁYSKAWICZNA UNIA MOROWYCH SOWIZDRZAŁÓW — BUMS — wzywa wszystkich do wzmożenia działań w akcji „ROBIMY PORZĄDKI"! Czekam na listy i raporty.

Kapitan BŁYSK

Trzy ciepłe jeziora

W górach Tiań-Szań na wysokości 2160 m znaleziono trzy ciepłe jeziora. Temperatura wody na ich dnie sięga 50 st. C. Analiza wody wykazała duży stopień zawartości soli i siarkowodoru. Jak wynika z dodatkowych badań — jeziora te zasilane są potokami mineralnej wody, które wypływają z głębokich szczelin w skorupie ziemskiej.

Lód na wulkanie

Lodowata czapa na wygasłym wulkanie — Elbrusie, który jest jednocześnie najwyższym szczytem w górach Kaukazu — ma już 340 lat. Wiek ten określili uczeni ukraińscy, którzy analizowali skład lodu w celu ustalenia daty ostatniego wybuchu wulkanu. Prowadzone badania staną się podstawą prognozowania możliwości przyszłego uaktywnienia się wulkanu. Przez cały czas ze szczelin Elbrusa wydostają się kłęby dwutlenku węgla, co skłania uczonych do twierdzenia, że istnieje możliwość ponownego wybuchu wulkanicznego.

LUDZIE DOBREJ ROBOTY

SĄ W RÓŻNYM wieku, pracują w różnych zawodach i na rozmaitych stanowiskach. Znaleźć ich można w każdym zakątku naszego kraju. Bez względu na to, co robią, robią to dobrze, z myślą o tych, którym służy ich praca. Dla wielu z nich zaawansowany wiek i zasłużona emerytura nie stanowią żadnej przeszkody. Nawyk dobrej roboty nie starzeje się; zawsze i wszędzie jest mile widziany. Świadczą o tym doniesienia naszych korespondentów.

Ludziom Dobrej Roboty składamy serdeczne gratulacje, członkom Ligi Korespondentów dziękujemy i zachęcamy do nadsyłania dalszych korespondencji na ten temat.

KORESPONDENT ŚWIATA MŁODYCH

UŚMIECH NIC NIE KOSZTUJE?

Jest w **Tarnowie** przy ul. Lwowskiej **104** sklep spożywczy **nr 34** zwany „Granicznym" — jedyny na dwa osiedla mieszkaniowe. Dlatego też przez cały dzień panuje tam niemiłosierny tłok. Pracuje tam kilka ekspedientek, ale wyróżnia się pani **Genowefa Sitko.** Mimo grymasów wielu niezdyscyplinowanych, niekulturalnych oraz niezdecydowanych klientów jest zawsze miła, uśmiechnięta i uprzejma.

W czwartek tj. 5.IV. godz. 15.30 weszło tam kilku niezdecydowanych panów. Pani Genia obsługując jednego z nich wychodziła z równowagi, a jednak była uśmiechnięta i uprzejma. A rozmowa ich była następująca:

— Proszę pani, czy jest kiełbasa na 54 zł?

— Nie, nie ma.

— A może na 68 zł?

— Owszem, jest, ile podać?

— Chwileczkę, zaraz się zastanowię.

— Proszę bardzo.

Mija jakiś czas.

— Czy mogłaby pani mi ją pokazać? Czy jest chuda?

— Raczej chuda, proszę pana.

— No to proszę 20 deka. Nie, nie — 30, a może 35.

— Ile proszę pana? Klienci czekają.

— Zaraz się zastanowię.

Znów mija dłuższa chwila. Nareszcie pan w kapeluszu zdążył się namyślić.

— To proszę 30 deka.

— Proszę, co jeszcze?

— Czy jest tłusty ser?

— Jest. Ile kostek podać?

— Chyba dwie.

— Duże?

— Może być... itd.

Ja myślę, że pani Genia jest naprawdę wspaniałym pracownikiem, gdyż zawsze jest uśmiechnięta, uprzejma i nikt nie wyprowadzi jej z równowagi. Natomiast

gdyby tacy klienci jak wyżej wymienieni załatwiali zakupy szybko i sprawnie, moim zdaniem oszczędzono by zdrowia ekspedientkom i czasu klientom.

Ewa Mucha
Tarnów

ZŁOTY WIEK DOBREJ ROBOTY

NA MIANO człowieka Dobrej Roboty w pełni zasługuje mieszkaniec naszego miasteczka, pan JAN ŁUKASIEWICZ.

W latach powojennych brał czynny udział w odbudowie kraju. I słusznie dostał za to odznaczenie „Budowniczego Polski Ludowej".

Po zdobyciu odpowiednich kwalifikacji zaczął pracować w łączności. Odznaka „Zasłużonego Pracownika Łączności" była nagrodą za 25-letnią nieprzerwaną pracę na słupskiej poczcie.

Teraz pan Jan jest na emeryturze, ale wolny czas poświęca dla dobra miasta. Wszyscy mówią, że robota „pali mu się w rękach", a rezultaty tej roboty widać. Nie ma na naszej ulicy tak pięknego podwórka, jakie urządził pan Jan. On też dba o place wypoczynku. Sam robi śliczne, kolorowe ogrodzenia, ławki. Gdzie jest tylko miejsce, tam sieje trawę i sadzi kwiaty. Mimo starszego wieku (70 lat) bierze udział w każdej akcji gospodarczej. Jest dla innych przykładem dobrej roboty i społecznego zaangażowania.

Danuta Pracyszyn
Ustka

ZAWSZE MILE WIDZIANA

Naszym wiejskim listonoszem jest kobieta, co rzadko się zdarza. Pracuje w małej, wiejskiej poczcie w Zbicznie, oddalonej znacznie od jej domu. Pracę tę wykonuje od kilkunastu lat.

Pani **Sabina Kamińska** jest starszą kobietą. Znają ją i lubią dzieci ze szkoły w Żmijewie i mieszkańcy wsi, których każdego dnia odwiedza przynosząc gazety, listy i paczki. Pani Sabina zasługuje na wyróżnienie nie tylko za sumienne wykonywanie swojego zawodu, ale także za swój dobry charakter. Często doradzi, jakie czasopismo zaprenumerować, nie odmówi też drobnej przysługi, życzliwie porozmawia, a także pożartuje.

Każdego dnia nasza pani listonosz chodzi uśmiechnięta, chociaż jest często zmęczona wędrówką po domach z ciężką torbą.

Teresa Sochacka
Karbowo-Pokrzywki

Kolumnę opracował
WACŁAW BISKO

PANI MAGISTER

BYŁO TO TRZY LATA TEMU. Mój ośmioletni obecnie brat Mirek został dotkliwie poparzony. Było to poparzenie III st. Straciliśmy głowy. Godzina późna. Co tu robić? Jeden ze starszych braci zadzwonił po pogotowie, a drugi natychmiast pobiegł do apteki.

W tym dniu dyżur pełniła nasza sąsiadka, pani magister STEFANIA PRZYBYŁEK. Gdy dowiedziała się o co chodzi, bez zwłoki przygotowała i sprzedała bratu lek bez recepty. Lekiem tym posmarowaliśmy poparzone nogi Mirka.

Gdy przybył lekarz, powiedział, że to, co najważniejsze, zostało już zrobione. Zrobił bratu zastrzyk, opatrunek i odjechał.

Na drugi dzień pani Stefania zauważyła mnie w długiej kolejce w aptece. Przeprosiła pozostałych klientów, wytłumaczyła im, że te lekarstwa, na które czekam, są pilnie potrzebne i sprzedała mi je bez kolejki. Piszę o tym, bo tylko jej zawdzięczam, że Mirek szybko powrócił do zdrowia. Po poparzeniach nie zostało śladu.

Zdarza się też, że do apteki przychodzą ludzie starsi, inwalidzi. Pani Stefania

z własnej inicjatywy obsługuje ich bez kolejki. Leki, których nie ma w aptece, potrafi zastąpić innymi.

Pani magister zdobyła sobie uznanie wielu mieszkańców Boguszowic.

Tomasz Krysiuk
Boguszowice, pow. Rybnik

MÓJ OJCIEC

DOSZEDŁEM DO WNIOSKU, że do ludzi Dobrej Roboty zalicza się mój tatuś JOZEF WOLSZA. Obecnie tatuś ma 45 lat. Zaczął pracować na kolei zaraz po wojnie, gdy miał 15 lat. Potem pracował w wielu przedsiębiorstwach jako cieśla, z każdej pracy wywiązywał się wzorowo.

Mój tatuś umie zrobić wszystko, co potrzeba. Np. ostatnio robiliśmy dużą piwnicę, a wcześniej sami robiliśmy na nią pustaki. „Sami robiliśmy", to znaczy robił tatuś, a my z bratem pomagaliśmy mu w tej ciężkiej pracy. Gdy było już dostatecznie dużo pustaków, by zbudować z nich piwnicę i szopę, zabraliśmy się do budowy. My — to znaczy ja z bratem — chodziliśmy do szkoły, mało mieliśmy więc czasu na pomoc tatusiowi. Tatuś założył najpierw podmurówki. Następnie wziął tydzień urlopu i budował parter. Za tydzień skończył i pokrył stropem betonowym. Przez kilka tygodni pierwsza część budowli schła, a tatuś tymczasem w każdy poniedziałek wstawał (i wstaje) o godz. 4.00 i wyjeżdżał do pracy do Katowic-Szopienic na budowę huty „Ferrum". Przyjeżdżał (i przyjeżdża) w piątki o godz. ok. 20.00 po ciężko przepracowanych dniach przy budowie huty. Tatuś jest brygadzistą.

Oprócz tego prowadzimy gospodarkę. Mamy dwie krowy i 1 świnię. Trzeba przy tym pracować ciężko i wytrwale. Tatuś chętnie by odpoczął, lecz nie może. W domu jest nas sześcioro, jest wiec na kogo pracować. Mój tatuś jest cenionym pracownikiem. Nie tylko on, lecz cała brygada. Brygada ta wiele zadań wykonała wzorowo. We współzawodnictwie w tym roku zajęła pierwsze miejsce w hucie „Ferrum".

Piszę nie dlatego, żeby chwalić się własnym ojcem lecz dlatego, że tak to u nas jest. O tym zaświadczyć mogą też odznaczenia, które tatuś zdobył. Tatuś posiada Brązowy Krzyż Zasługi, „Srebrną Odznakę Zasłużonemu w Rozwoju Woj. Katowickiego" oraz 2 dyplomy.

Stanisław Wolsza
Bucze, pow. Brzesko

NIE TYLKO WE WŁASNYM OBEJŚCIU

WE WSI WITKOWICE mieszka stara babcia. Ma duże gospodarstwo, ale jest bardzo nieprzystępna i nie da nikomu tknąć jej obejścia. Gdy idziemy ze szkoły i chcemy jej pomóc, to ona z kijem do nas. Pozwala przychodzić jedynie panu STANISŁAWOWI FERFECKIEMU. Pomaga on jej jak może: zasiewa pole, karmi bydło itd. Pan Stanisław jest doskonałym rolnikiem. Jest samotny, ale radzi sobie znakomicie: sam gotuje, pierze, prowadzi gospodarstwo. A w domu to ma tak czysto, że aż błyszczy. Powiedziałbym, że lepiej prowadzi gospodarstwo niż trzy kobiety. Koło domu ma ogród, a w nim kwiaty, jarzyny i drzewa owocowe. Ludzie kupują u pana Stanisława ser, masło, mleko, maślankę. Wszystkie te produkty są smaczne, czyste jak od dobrego gospodarza. Bardzo chętnie bierze udział w pracach społecznych, jak np. budowa ośrodka zdrowia.

K. K.
Witkowice, pow. Ropczyce

(nazwisko i imię znane redakcji)

HARCERZE W ROBOCZYCH DRELICHACH

Stanisław Przybyłek przy obrabiarce w czasie wykonywania harcerskiego czynu zjazdowego.

Foto: Tadeusz Strzelecki

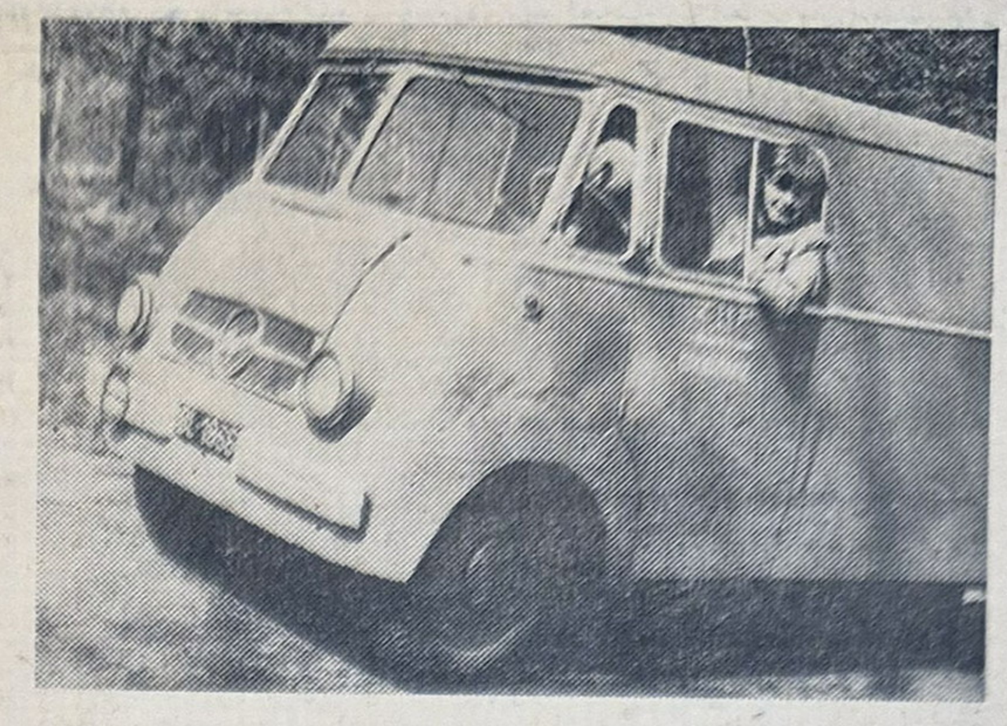

Karoserię tej Nyski druhowie łatali dosłownie z kawałków blach. Remontowali ją oczywiście przy wydatnej pomocy starszych kolegów z „Unii". Za kierownicą — szef służby samochodowej szczepu — Romuald Woźniak.

WIESŁAWA MROCZEK

Już za Grudziądzem rozlewa się szeroko piękne Jezioro Rudnickie. Nad jeziorem zwraca uwagę niewielki plac ogrodzony kolorowym żelaznym płotem, którego sztachety powycinane są w wymyślne wzory. Stoją na tym placu dwa dziwne budynki — zbudowane ze złomu, a także dwa autobusy bez kół, ustawione na leżących oponach. Widoku dopełniają łodzie o tajemniczych nazwach „Wiatrosz", „Jartoszka" i „Fasjak". Jest to „zagroda" czyli posiadłość szczepu z „Unii". Płot wykonali druhowie z odpadów złomowych, budynki (jeden jest własnością szkoły) — również. Autobusy — nabytek ostatnich dni — otrzymali od jednego z zakładów pracy i właśnie zagospodarowują je na harcówkę oraz salę treningową. A łodzie... Ciekawi usłyszeć mogą niezwykle interesującą historię o starych bogach pomorców, których istnienie odkryli właśnie harcerze. Otóż „Fasjak" był dobrotliwym bogiem połowów morskich, „Jartoszka" jego żoną, natomiast „Wiatrosz" „dowodził" wiatrami morskimi.

A w rzeczywistości... nazwy ustanowione są z inicjałów imion i nazwisk harcerzy, którzy przy ich renowacji czy też budowie pracowali. Po obu stronach szalupy „Jartoszki" druhowie wymalują maltańskie krzyże. Drużyna WOPR pełnić będzie na niej służbę ratowniczą na jeziorze. Tuż za ogrodzeniem harcerskiego placyku — wybiega w wodę grobla usypywana z gruzu. Na końcu tej grobli kotwiczyć będzie właśnie „Jartoszka".

Harcerze załodze

Budynek — ten harcerski, wypełniony jest sprzętem. Sprzęt to dziwny; długie żelazne ni to szyny, ni to kątowniki są częściami szkieletu namiotów i polowych łóżek. Bowiem ów szczep sam sobie pobudował obozowe, czteroosobowe domki.

Materiał zakupiono za niską cenę z wybrakowanych odpadów. W takich czteroosobowych „pałacach" szczep z „Unii" spędza wakacje. Ba, nie tylko szczep. Na soboty i niedziele zjeżdżają fabrycznymi autokarami... pracownicy „Unii" z żonami i dziećmi! Harcerze przygotowują im posiłki, program rozrywkowy, czyli ognisko, a sami na noc wynoszą się w las na grę terenową. Właśnie za te domki oraz za „wczasy dla zakładu pracy" Przewodniczący Rady Państwa osobiście chwalił harcerzy, stawiając ich za przykład tym dorosłym z innych zakładów pracy, którzy za organizację wczasów niedzielnych odpowiadają.

W tym roku szczep wprowadza w organizacji sobót i niedziel dla „Unii" pewne zmiany. Druhowie mają otrzymać od jednej z instytucji stare, zdezelowane przyczepy samochodowe.

Po generalnym remoncie domki, materace i koce załaduje się na przyczepy i... w świat. Gdzie tylko sobie pracownicy zakładów zażyczą tam harcerze ustawią im wczasowisko.

Druhowie korzystają z pomocy finansowej zakładu, bo nie wszystko przecież wykonać można harcerskimi rękami, a maty do trenowania dżudo czy sprzęt kulturystyczny — sporo kosztują...

Na tle własnej działki widocznej od strony jeziora — kadra szczepu. Pierwszy z prawej starszy technolog wynalazczości przy fabryce „Unia" — druh szczepowy Zbigniew Rygielski. Drugi z prawej tokarz z „Unii" — drużynowy Roman Pasis.

Foto: W. Mroczek

Kolorowe płoty

Wczesną wiosną, a było to przed rokiem, zakłady pracy w Grudziądzu otrzymały polecenie objęcia patronatu nad „wiosennym uporządkowaniem miasta".

W grupie przeprowadzającej wizję lokalną samego śródmieścia znajdował się dyrektor „Unii". I oto okazało się, że u zbiegu ulic Marcinkowskiego i Rybackiej parterowy otynkowany domek otoczony jest czymś skleconym z kawałków blachy, starych desek, dykty i drutu. Rupieciarnia ta chroniła niewielki ogródek mimo wczesnej pory skrzętnie pielęgnowany.

— Rozebrać! — zadecydowała komisja. — Taka szpetota w samym śródmieściu to skandal!

Wtedy przed dom wyszła staruszka i zaczęła płakać.

Komisja znalazła się w kłopotliwej sytuacji, z której na szczęście wybawił ją dyrektor „Unii" mówiąc:

— Babciu, moi harcerze postawią nowy, ładny płot. Na pewno postawią.

Przez trzy następne popołudnia uwagę przechodniów zwracał niezwykły ruch przy Marcinkowskiego 24. To 32 harcerzy z „Unii" rozbierało stare i stawiało nowe kolorowe ogrodzenie. Druhowie na furtce, u samego dołu pozostawili oczywiście „wizytówkę" — żelazne pręty zespawane w napis: WYK. ZHP „UNIA".

Następny płot równie kolorowy i oryginalny, otoczył ogródek dzieciecy przyzakładowego przedszkola.

* * *

Szczep drużyn specjalnościowych przy szkole przyzakładowej grudziądzkiej „Unii" założony został przez pracownika tych zakładów — druha harcmistrza Zbigniewa Rygielskiego przed dziewięciu laty. Wielu byłych harcerzy dorosło, pozakładało rodziny, ale wszyscy oni stanowią grupę serdecznych przyjaciół szczepu, na których zawsze można liczyć.

Druh szczepowy twierdzi, że harcerstwo musi czemuś służyć, musi być użyteczne dla społeczeństwa. Druhowie z „Unii" są tego samego zdania.

SZCZEPÓW I DRUŻYN SPECJALNOŚCIOWYCH mamy w Polsce niemało. Ale ten z Grudziądza — różni się od pozostałych bardzo wyraźnie. Wcale nie dlatego, że chłopcy na zbiórkach harcerskich trenują dżudo i nie dlatego, że ten szczep istnieje przy Szkole Przyzakładowej Fabryki Maszyn Rolniczych „Unia". Zresztą pracownicy tych zakładów od dyrektora począwszy a na brygadzistach nie skończywszy, zwykli mawiać „moi harcerze" albo „nasi harcerze".

KIEDY DRUŻYNOWY — ROMAN PASIS tokarz z zawodu, przyjmowany był do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej — w rekomendacjach popierających jego kandydaturę na członka PZPR wszyscy opiniodawcy, wcale z ZHP nie związani, przede wszystkim podkreślali jego działalność w szczepie.

KIEDY PRZEWODNICZĄCY RADY PAŃSTWA HENRYK JABŁOŃSKI wizytował ziemię grudziądzką, w rozmowach, a także na konferencjach — wcale nie harcerskich — jako przykład zaradności i gospodarności stawiał szczep drużyn specjalnościowych pracujący przy Fabryce Maszyn Rolniczych „Unia" w Grudziądzu.

KIEDY MIESZKANKA DOMKU PRZY ULICY MARCINKOWSKIEGO 24 ROG RYBACKIEJ otwiera pięknie pomalowaną furtę wiodącą do ogródka — ze łzami wzruszenia wspomina „harcerzyków", serdecznych chłopaków, którzy przez kilka popołudni pracowali nie szczędząc wysiłku, aby ulżyć doli samotnego człowieka.

Ech, ta droga...

C. d. ze str. 1

Póki jesteśmy młodzi, to jeszcze można wytrzymać. Tutaj dobrze się zarabia i jak już ktoś się godzi na tę robotę, to po to, żeby uskładać trochę pieniędzy i lepiej potem wystartować w życiu. Ja składam na mieszkanie w Rzeszowie, narzeczoną już mam. Chciałoby się jakoś z sensem zacząć. Więc pracuję tu jak wół, grosz składam, nie hulam. Wie pan, o drogowcach chodzi taka opinia, że to rozrabiaki, szumowiny itd. To nieprawda. Niech pan spojrzy na kolegów. Czy oni na takich wyglądają? Ten z lewej jest studentem na urlopie dziekańskim. Tamten ma zawód technika elektronika, ale w fabryce zarobi mniej niż tutaj, więc na razie pracuje na drodze. A inni? Nie mają zbyt dużego wykształcenia, czasami nie chciało im się uczyć... Są młodzi, jeszcze wiele zrozumieją. Bo praca na drodze to nie tylko przygoda, duże przestrzenie, natura, ale także fizyczny wysiłek aż do zmęczenia, męska przyjaźń i coś, czego przychodząc tu, nikt się nie spodziewał...

On miał dwadzieścia lat

NAJPIERW IDZIE SPYCHACZ, potem walec do ugniatania ziemi, ludzie układający kamienie i wysypujący szuter, dalej maszyna do wyrównywania podłoża, w końcu zaś „asfalciarka". Wszystko jest zgrane. Ekipy równomiernie postępują jedna za drugą. Nie można się spóźniać, bo automatycznie robią się przestoje, ludzie i maszyny czekają, a od szybkości zależy premia, wysokość zarobków i wszelkie zaszczyty.

Czasami jednak zdarza się, że ten posuwający się powoli wąż drogowy, złożony z maszyn i ludzi, raptem zostaje zatrzymany...

— ...Tego dnia był ogromny upał, a na dodatek pracowaliśmy na bardzo sypkim podłożu, które wiatr unosił w górę w postaci tumanów kurzu. Zasychało w gardle, dławiliśmy się wirującym w powietrzu piachem. Jednym słowem — robota nie szła najlepiej, było już niewielkie opóźnienie, szef się pieklił, a tu jeszcze jak na złość ta historia.

Spychacz na przodzie raptem stanął, potem cofnął się i zjechał na pobocze. Za chwilę zaś usłyszeliśmy głos kierowcy:

— Chłopaki, szybko! Tu coś jest!

Pobiegliśmy we wskazanym kierunku i... stanęliśmy jak wryci.

Na szufli spychacza leżał ludzki szkielet! Podeszliśmy do miejsca, skąd kolega wygarniał ziemię. Ze szczeliny, z której wyciągnął szuflę spychacza, wystawało jeszcze kilka innych kości.

Jak zwykle w takich wypadkach zawiadomiliśmy zaraz milicję i muzeum w Rzeszowie. Obie ekipy po dwóch godzinach były na miejscu. Patrzyliśmy więc jak robią zdjęcia, jak odkrywają powoli warstwy piachu. W powietrzu zawisła sensacja!

Kilka lat temu w pobliskiej wiosce było morderstwo. Ludzie zaczęli je przypominać...

Przestępowaliśmy zatem z nogi na nogę, zaglądaliśmy milicjantom przez ramię i kiedy nasze napięcie sięgało szczytów, jeden z archeologów natrafił raptem na coś metalicznego. Odłożył więc łopatkę i ostrożnie usunął resztę piachu gołymi rękami. Naszym oczom ukazał się wtedy... hełm! Z boku miał dziurę wielkości śliwki, był trochę zardzewiały i pognieciony.

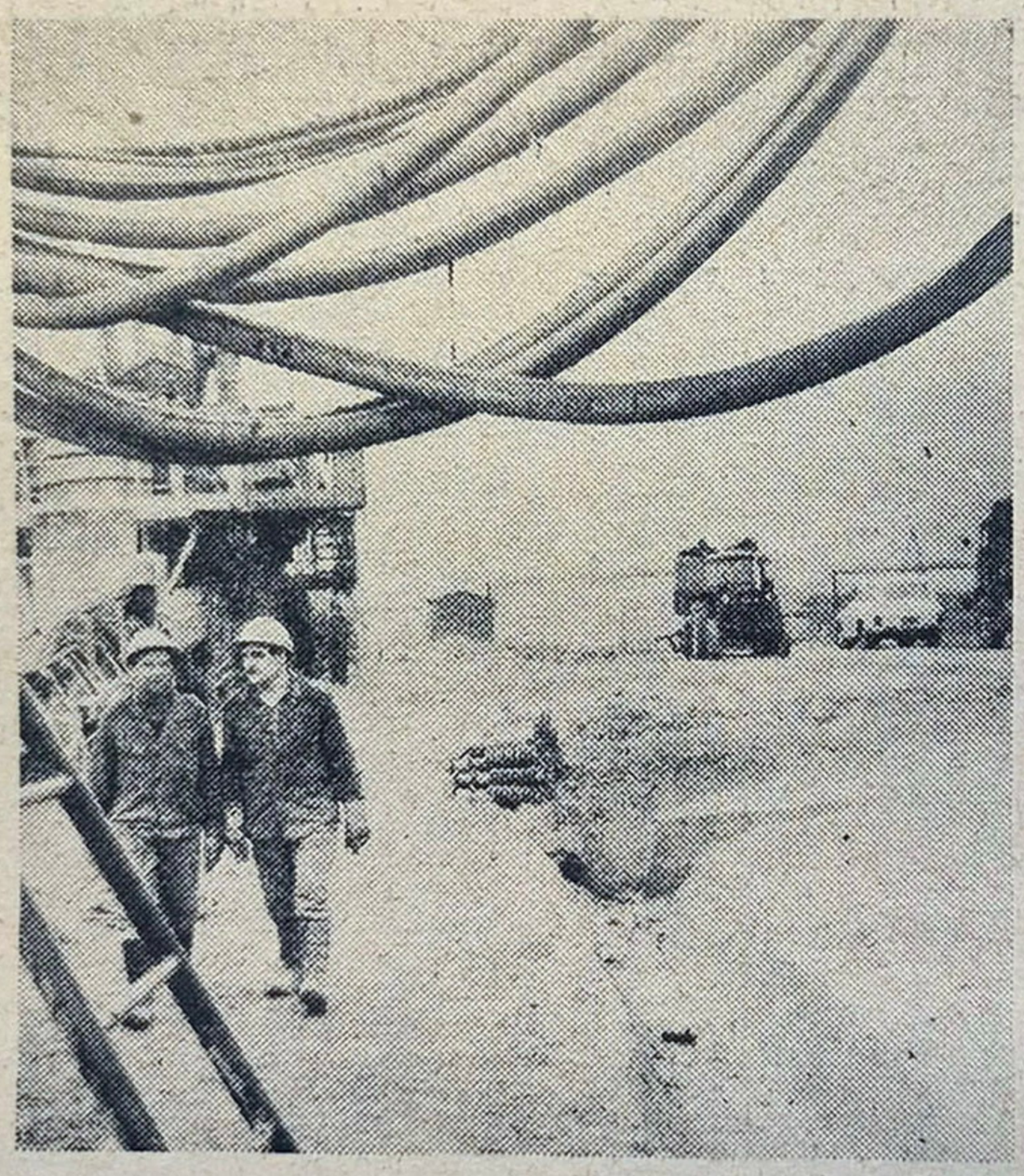

Foto: B. Kozłowski

I raptem zrobiło się bardzo cicho! Archeolog przyglądał się hełmowi z uwagą. Patrzyliśmy i my i przypominaliśmy sobie ten kształt i charakterystyczny owal... I gdyby hełm nie leżał tyle lat w ziemi, zobaczylibyśmy jeszcze białego orła, którego nosili na hełmach polscy żołnierze, idący w 1944 roku na zachód.

Staliśmy tak przez chwilę, nie bardzo wiedząc jak się zachować. Tymczasem milicjanci wygrzebali resztki pepeszy i strzępy jakiegoś plecaka. I dopiero kiedy odjechali, powoli zaczęliśmy wracać do pracy.

Jeden z archeologów powiedział: „On nie miał więcej niż 20 lat". A nas, dwudziestolatków, jest tutaj przecież tylu...

Nie wiem, co czuli moi koledzy, ale tego dnia żaden z nas nie patrzył na zegarek. Słońce już dawno zaszło, zrobiła się szarówka, a my jeszcze pracowaliśmy. Nie wiem, co się stało, ale to odkrycie zapadło nam głęboko w serca. Chcieliśmy chyba pokazać, że ta śmierć nie poszła na marne, że potrafimy być tego chłopaka godni. To może patetyczne, ale wtedy, tego dnia, na tamtym miejscu chcieliśmy być lepsi. I dlatego tak nam zależało, aby nadrobić powstałe opóźnienie...

Historia w ziemi pisana

Praca na drodze to pouczająca przygoda — mówi dalej Jan Bodalski. — Ziemia kryje wiele zagadek. Czasami znajdujemy czyjąś mogiłę, kiedy indziej garść nabojów, szczątki pojazdu albo przedmioty bardziej odległe, sprzed setek lat: jakiś kolczyk, ostrogę, stare narzędzie rolnicze. Bowiem ziemia kryje w sobie historię, widać w niej tragizm polskich losów. Mam czasami wrażenie, że ona mówi. Trzeba tylko umieć słuchać: leśnych okopów, które jeszcze nie zarosły trawą i krzewami, niewielkich kurhanów, na których mogły być piastowskie grody. I to jest to, co się w tej pracy także liczy: odkrywanie historii. A każde nowe odkrycie, to kolejna refleksja.

I kto by pomyślał... Ot, zwykłe przerzucanie piachu...

* * *

...Ogień strzela iskrami prosto w niebo. Jemy soczystą kiełbasę. Gdzieś obok przemykają szybkie samochody osobowe i powolne ciężarówki. I ich kierowcy nie przypuszczają nawet, że jadą po ziemi, która przemawiała, skłaniając Jana Bodalskiego, robotnika drogowego spod Jasła do historycznej zadumy.

WOJCIECH PIELECKI

Korespondencja własna z Moskwy

Czy nasz hokej zawsze musi być „CZERWONĄ LATARNIĄ”

Przyznaję, iż na rewanżową rundę Hokejowych Mistrzostw Świata nie jechałem w dobrym nastroju. Przegrane ze wszystkimi przeciwnikami, a przede wszystkim porażka z NRF, stawiały naszą drużynę na ostatnim miejscu klasyfikacyjnej tabeli. Widmo degradacji do grupy B stało się widoczne nawet dla laików. Do Moskwy udawałem się więc tylko po to, by szukać przyczyn wykluczenia Polaków z grona najlepszych. Spotkała mnie jednak miła niespodzianka: rewanże okazały się dla nas łaskawsze. Może lepiej się wyrażę: choć nie dorównujemy jeszcze klasą drużynom ZSRR, Szwecji czy Czechosłowacji, możemy nawiązać równorzędną walkę z Finami, pokonać NRF. I dlatego za rok, w Tampere, ujrzymy ponownie zespół w biało-czerwonych kostiumach.

KONTUZJE, BRAKI, PORAŻKI

Przed kilkoma miesiącami, podczas grudniowego Turnieju „Izwiestii”, rozmawiałem z najlepszym napastnikiem w historii światowego hokeja, Włodzimierzem Pietrowem. Mój rozmówca nie ukrywał, że hokej jest specyficzną dziedziną sportu, w której nie ma miejsca dla słabeuszów. Tu trzeba nie tylko dobrze operować kijem, doskonale i szybko jeździć na łyżwach, ale nade wszystko umieć grać ciałem. Ostatnie Mistrzostwa Świata udowodniły, iż coraz mniej jest pięknych zespołowych zagrań, że zaczyna przeważać twarda gra, czasami wręcz ostra. Kto więc wjeżdża na lód, musi być przygotowany na wszelkie ewentualności.

Już w pierwszych meczach mistrzostw niemal wszystkie zespoły zostały osłabione. W polskiej drużynie kontuzji doznał Krzysztof Białynicki, później Adam Kopczyński. Na potłuczone mięśnie narzekał także Walenty Zientara. Pozostali zawodnicy też nie czuli się najlepiej. W takiej sytuacji trudno było nawiązać równorzędną grę z czołówką światową. Ogromne przygnębienie, bo przecież nie spodziewano się takiego „przyjęcia”, zapanowało w naszym obozie. Aż wreszcie nadszedł dzień pierwszego pojedynku z zespołem NRF. Nie będę przypominał tego dramatycznego meczu. Wszyscy sympatycy hokeja pamiętają go doskonale. Nawet sami zawodnicy przyznali, że przyczyną porażki było zwykłe asekuranctwo. Przecież prowadziliśmy 2:1. Gra „na czas” się nie opłaciła, a dwie minuty wystarczyły, by drużyna dowodzona przez Gerharda Kiesslinga objęła prowadzenie. Zachodnioniemiecki trener wyznał szczerze, że do Moskwy przyjechał na dwa mecze; tylko z Polską. Jeden udało mu się wygrać. Jak będzie w następnym? Swobodny ton wypowiedzi, uśmiechnięta twarz trenera, stanowiły odpowiedź...

Analizując ten fatalny mecz z NRF doszliśmy do wniosku, że naszemu zespołowi brak jest jeszcze umiejętności gry ciałem, trzymania rywala przy bandzie, umiejętności przyjmowania krążka na ciało. Nie brakuje jednakże ambicji...

W BIAŁO-CZERWONYCH OBUDZIŁ SIĘ DUCH...

Każdy, kto choć trochę zetknął się ze sportem, wie, że porażka potrafi załamać. A tymczasem już od samego początku mistrzostw wszystko szło innym torem, nie takim, jaki wytyczyli Anatolij Jegorow i Mieczysław Chmura. Błędnym byłoby twierdzenie, że naszym zawodnikom brakowało zaciętości, serca do gry. Fakt jednak jest taki, że bramki przeciwników stanowiły istny mur, którego biało-czerwoni nie mogli sforsować. Zachodziła obawa, iż Polacy popadną w kompleks. To już oznaczałoby całkowite przekreślenie miejsca w grupie najsilniejszych, przekreślenie czteroletniej harówki z radzieckim trenerem. Każdy błąd naszych zawodników kosztował prawie zawsze utratę bramki. W meczu ze Związkiem Radzieckim utraciliśmy ich 20!

Niestety, lista braków w polskiej drużynie jest trochę dłuższa; mogliśmy na przykład zauważyć chaotyczne rozgrywanie akcji ofensywnych. W pojedynkach z Czechosłowacją, Finlandią, a nawet Szwecją mieliśmy wiele okazji do zdobycia bramek, ale nie było właściwego zakończenia ataku. A przecież grą w polu wcale nie ustępowaliśmy wymienionym tu zespołom. Wniosek z tego wypływa taki, iż w polskiej drużynie brak nie tylko zgrania, zrozumienia się ofensywy z defensywą, ale także opanowania krążka przy większej szybkości jazdy. Na nasze szczęście w końcowej fazie mistrzostw, w meczu z Finlandią, nastąpiło „przebudzenie” się polskiego zespołu.

Na zdjęciu u góry: Lorenz Funk należał do najgroźniejszych napastników w zespole NRF. Jednakże starannie pilnowany przez naszych zawodników, w rewanżowym meczu, wiele nie zdziałał. Obok niego Mieczysław Jaskierski.

Z prawej: Stefan Chowaniec po zwycięskim pojedynku z samym Jiři Holečkiem — najlepszym bramkarzem mistrzostw. Niestety, Czechosłowacy okazali się za silnym przeciwnikiem dla naszego zespołu.

WAŻNY UŁAMEK SEKUNDY

Po zakończeniu pierwszej tercji Finowie prowadzili 1:0. W drugiej padło wyrównanie, a tym samym ustanowiono końcowy wynik spotkania. Mieliśmy więc pierwszy punkt, punkt na wagę złota w walce o światową ekstraklasę. Teraz wystarczy pokonać NRF różnicą nawet jednej bramki, a w ogólnym dorobku punktowym będziemy od nich lepsi.

Bezpośrednio po spotkaniu z Finlandią rozmawiam z Jegorowem:

— Wierzę w końcowy sukces — powiedział trener. — I co najważniejsze uwierzyli w niego także sami zawodnicy. Mecz z NRF będzie meczem prawdy. Sądzę, iż przełamaliśmy złą passę...

Bohater tego spotkania, Jan Szeja (zdobył wyrównującego gola), ze łzami w oczach opowiadał raz jeszcze przebieg pięknej akcji ukoronowanej bramką.

— Kiedy otrzymałem to cudowne podanie od Mietka Jaskierskiego, ruszyłem szybko do przodu. Pozostawiłem za sobą fińskich obrońców, widziałem tylko wyjeżdżającego w moją stronę bramkarza Jormę Valtonena i siatkę w bramce. Jakże chciałem tam umieścić krążek. Ułamek sekundy wahał się fiński bramkarz i... zapaliło się czerwone światło.

MECZ PRAWDY

Plan taktyczny meczu z NRF przewidywał paraliżowanie przez piątkę Leszka Tokarza ataku Kuhnhackla, najlepszego w zespole zachodnioniemieckim oraz pilnowanie groźnego Funka. No i oczywiście atakowanie bramki rywali. Ale oto już w drugiej minucie spotkania na ławkę kar wędruje Andrzej Słowakiewicz. Zawodnicy NRF ruszają do szturmu i na 14 sekund przed końcem kary Kuhnhackl przechytrza Walerego Kosyla. Zrzedły nam miny. NRF gra tylko dwoma atakami, tymi lepszymi. Polacy jednak nie mają zamiaru kapitulować. Przeprowadzają kilka ładnych akcji i po jednej z nich Tadeusz Obłój, aż z niebieskiej linii, zaskakuje Antona Kehle. Wynik — 1:1! Na trybunach głośny doping dla polskiego zespołu. Publiczność radziecka nie szczędzi gardeł: „Szajbu, szajbu! Mo-łod-cy!” — słychać dookoła.

Dopiero w trzeciej tercji udaje się Polakom strzelić zwycięskie bramki; najpierw Szeja po samotnym rajdzie lokuje krążek w górnym rogu, później Jaskierski podwyższa wynik na 3:1, a na 50 sekund przed końcem meczu Szeja ustanawia końcowy rezultat: 4:1. Przekonywujące zwycięstwo, udany rewanż. Podbiegam do Lucka Czachowskiego, kapitana naszego zespołu, w zapoconą dłoń wciskam wiązankę tulipanów.

— „Dzię”... — na „kuję” — zabrakło mu oddechu. Jeszcze tylko wetknął mi w rękę swój kij, który obiecał naszej redakcji w wypadku zwycięstwa.

Jegorow choć zdenerwowany jest uśmiechnięty. Drżą mu ręce, kiedy składamy gratulacje. Ukradkiem ociera łzy...

Po prasowej konferencji trener Jegorow oświadcza polskim dziennikarzom:

— Sami teraz zrozumieliście, ile roboty przed nami. Za rok następne mistrzostwa. Nie chcemy być nigdy „czerwoną latarnią” grupy A, walczyć za wszelką cenę o ostatnie w niej miejsce. W Moskwie plan wykonaliśmy, ale ambicją naszą jest sięgnąć wyżej.

TALENTÓW NIE BRAKUJE

W Polsce mamy całą armię utalentowanych do gry hokeja chłopców. Trzeba tylko wykorzystać ich zapał. Przypominam, że przed kilku laty podczas Mistrzostw Europy Juniorów miano najlepszego zawodnika zdobył Walenty Zientara; a przed kilkoma tygodniami, na podobnej imprezie, błysnęli Jan Piecko, Maciej Marciniak, a cały zespół wyróżnił się ogromną bojowością. Praca z tą młodzieżą niewątpliwie przyniesie sukcesy. Pod warunkiem, że stworzymy jej pełne możliwości rozwoju talentu. W klubach i na zgrupowaniach. Anatoli Jegorow udowodnił, że efekty idą w parze ze szkoleniem. Trzeba jeszcze bardziej nasilić treningi z najmłodszymi, bo tylko oni stanowią przyszłość polskiego hokeja. Jako przykład właściwej pracy mogę podać szkolenie w CSKA Moskwa. Ten wojskowy klub prowadzi zajęcia aż z czterdziestoma grupami młodzików, każda po 25—30 osób. Dla nich przeznaczono ogromną ilość sprzętu, oddano najlepszych trenerów. Podobna sytuacja panuje także w innych zespołach Kraju Rad. A ilu chłopców w wieku 12—15 lat trenuje w naszym najpotężniejszym klubie wojskowym, warszawskiej Legii? Samo Podhale Nowy Targ nie rozwiązuje problemu!

I dlatego, aby polski hokej nie walczył tylko o ostatnie miejsce w grupie najsilniejszych musimy stanowczo wydać walkę panującej przeciętności. Tylko w trudzie wyszlifujemy „diamenty”. Tych w Polsce wcale nie brak.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

Tadeusz Kacik w samotnym rajdzie na bramkę NRF. Tym razem gola nie będzie.

WIDMO w zamku KERMOAL

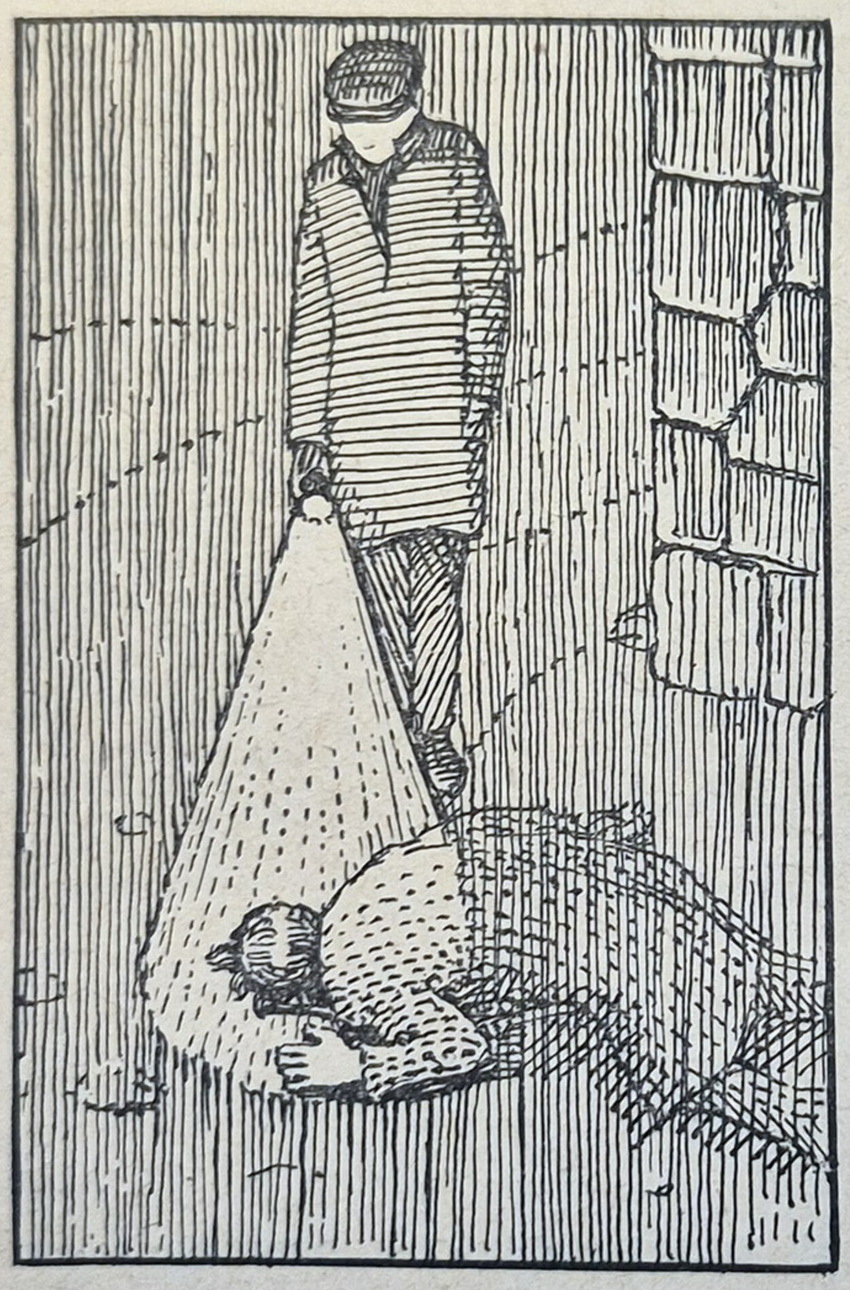

Ranny

Bez Atu cicho przemyka schodami w dół i otwiera drzwi. Deszcz zaczął znów padać: gęsty, drobny, kłujący w twarz. Trzeba się pośpieszyć. Niedługo nie będzie śladów. Jednym susem jest przy bramie i przygięty, z latarką, której światło obmacuje grunt, rozpoczyna śledztwo. Od razu odkrywa wspaniały odcisk podkowy, której tym razem nie brakuje gwoździa. Nieco dalej, na piasku, znajduje drugi, a następny u stóp skały. Za rogiem muru jest jeszcze jeden ślad, akurat pod oknem, gdzie czuwali. François zrobił jeszcze kilka kroków i nagle odskakuje. Na próżno próbuje się opanować, lampa drży mu w ręku.

Przy następnym narożniku, w miejscu, gdzie koń się zatrzymał, leży ktoś na brzuchu, z głową zwróconą ku morzu.

Brigognan? Absurd! Deszcz bębni po czarnym, nieprzemakalnym płaszczu nieznajomego. Ani śladu krwi. Musiał stracić przytomność przy upadku. Jak to przy upadku? Nie dosiadał przecież końskiego widma. Skąd się tu wziął? Czego szukał w zamku? Bił się? Z kim i o co?... Zaraz. Co on ściska w prawym ręku?... Bez Atu odgina palce nieznajomego. Metalowy, błyszczący guzik, który na pewno oderwał komuś podczas starcia. Bez Atu wsuwa guzik do kieszeni. Później się zobaczy. Na razie trzeba zająć się rannym.

Biegnie obudzić Jaouenów. Podczas gdy Marguerite zaściela łóżko w jednym w pokojów gościnnych wychodzących na morze, Jaouen wyciąga z szopy taczki, a Jean-Marc przygotowuje niewielką zawartość podręcznej apteczki. Nieznajomy, nieprzytomny w dalszym ciągu, zostaje załadowany na taczki. Jest szczupły, niewiele waży, wniesienie go do domu nie sprawia trudności. Bez Atu zdejmuje z niego płaszcz. Coś obciąża kieszeń okrycia. Broń? Kiedy Jaouenowie układają rannego w łóżku, Bez Atu zagłębia rękę w kieszeni płaszcza. To, co wyciąga, wprawia go w osłupienie. W ręku błyszczy figurka... z masywnego złota. Przedstawia konia, który wspięty do skoku, bije powietrze przednimi kopytami i wściekle potrząsa grzywą.

— Patrzcie!

Bez Atu stawia konia na stole. Jaouenowie nie śmią go dotknąć, ale Jean-Marc chwyta, waży na dłoni.

— Cholera! Jeśli to złoto!

— Na pewno złoto — mówi Bez Atu. — Patrzcie, jak pięknie uchwycony ruch, jakie doskonałe proporcje... To dzieło sztuki, z całą pewnością.

— Ale... jaki ma związek z naszym koniem? — pyta Jean-Marc.

— To wyjaśni nam on, jak odzyska przytomność.

Nachylają się nad rannym. Bez Atu wskazuje na olbrzymi fioletowy guz, który zaczyna formować się na skroni mężczyzny.

— Ale cios! — mówi Jaouen. — Żeby tylko nie miał pękniętej czaszki!

Marguerite nadchodzi już z ciepłą wodą i watą. W sytuacjach poważnych jest niezastąpiona, uczynna i nie narzekająca. Delikatnie przemywa ranę.

— Rozbierzcie go — mówi — ja tymczasem pójdę po drugą poduszkę.

Ostrożnie ściągają z rannego marynarkę i spodnie.

— To jednak zastanawiające — zauważa Bez Atu. — On nie ma nic w kieszeniach, ani portfela, ani śladu jakiegoś dokumentu. Niepojęte!

Mężczyzna jęczy, ale nie odzyskuje przytomności. Cała czwórka przygląda się uważnie tajemniczemu rannemu, który został powalony tam, gdzie zatrzymało się widmo konia. Tam, gdzie hrabia de Trevor śmiertelnie ugodził seniora de Brigognana. Twarz mężczyzny jest szczupła, zrośnięte nad nosem brwi czynią ją brutalną. Przenoszą wzrok na złotego konia, spiętego do skoku, gotowego do walki i przychodzi im do głowy ta sama myśl.

— Cios kopyta — mówi głośno Bez Atu.

Myśl wydaje się szalona, ale olbrzymi siniec, który zachodzi aż na policzek, rzeczywiście wygląda na kopnięcie.

— Policja rozstrzygnie — przeciął Bez Atu. — To ich równie będzie obchodzić jak nas. Jean-Marc, idź zadzwonić. Powiedz im, żeby natychmiast przyjechali, bo mamy rannego, którego stan jest bardzo ciężki.

— Pan Robion nie będzie zadowolony — lamentuje Marguerite.

— Przeciwnie — mówi Bez Atu — ojciec zobaczy, że umiemy sami sobie radzić.

Czekając na powrót Jean-Marca, Bez Atu obraca złotego konika w ręku. Może figurka zawiera jakiś sekret, może coś w niej ukryto? Przede wszystkim czy istnieje jakiś związek między tą figurką a widmem pojawiającego się konia? Na pewno jest tu jakaś zbieżność. Bez Atu nie brakuje wyobraźni, ale nie widzi w tej historii ani cienia logiki. Widmo konia zniknęło, a została figurka, niby jakiś znak. Ale co to ma znaczyć?

Jean-Marc wraca wściekły.

— Telefon nie działa. Burza prawdopodobnie uszkodziła linię.

Jaouen mówi, że to się często zdarza. No cóż, Jean-Marc będzie musiał skoczyć na posterunek samochodem. Nie można przecież zostawić tak tego człowieka, trzeba przywieźć lekarza.

— Już trzecia — zwraca uwagę Jean-Marc. — Przepędzą mnie.

— Pojadę z tobą — rzuca Bez Atu. — Ty będziesz budził lekarza, a ja tymczasem przedstawię całą sprawę na policji.

— Ubierzcie się dobrze — przykazuje Marguerite.

Polecenie nie jest bezsensowne. Pada coraz bardziej. Bez Atu idzie do siebie. Matka miała rację zmuszając go do zabrania szalika! Ubiera się ciepło i zgięty pod wichurą biegnie do szopy. Jean-Marc tkwi całym tułowiem pod maską silnika.

— Nie wiem co się stało z tym zakichanym pudłem. Nie chce zapalić. Naciśnij starter.

Po kilkunastu minutach wysiłków trzeba się pogodzić z rzeczywistością: samochód wysiadł.

— Nic z tego nie rozumiem — odzywa się Jean-Marc. — To nie jest zwyczajne uszkodzenie.

— Myślisz, że ktoś podmienił ci silnik?

— Co też ci chodzi po głowie?

— Tak czy owak, jesteśmy zaklinowani. Ani telefonu, ani samochodu. Nie możemy zawiadomić policji.

Jean-Marc stoi z bezsilnie opuszczonymi rękami. Bez Atu w zamyśleniu krąży wolno wokół samochodu. Myśl o sabotażu opanowuje go coraz silniej, a po tylu tajemniczych wydarzeniach jest bardzo niepokojąca.

— Chodźmy stąd — mówi Jean-Marc.

Pośpiesznie wracają do domu. Jaouen otwiera drzwi i nakazuje im ciszę, kładąc palec na ustach.

— Chyba usnął.

— To dobrze — szepcze Jean-Marc — ponieważ samochód nawalił. Nie wiem dlaczego. Przy takiej pogodzie rower nie wchodzi w rachubę, więc policję będziemy mogli zawiadomić dopiero rano.

Jaouen zwraca się do Marguerite:

— Najlepiej jak się położysz.

Ale ona natychmiast protestuje:

— Nie jestem bardziej zmęczona niż ty.

Wywiązuje się między nimi prowadzona szeptem dyskusja, której zdecydowanie kładzie kres Jean-Marc:

— Nie ma potrzeby, żebyśmy go we czworo pilnowali. W tym stanie nie jest niebezpieczny. François i ja będziemy kolejno czuwali. Dobranoc.

Widać zdanie Jean-Marca dużo dla nich znaczy, bo nie opierają się i wychodzą. Jean-Marc przysuwa fotel do łóżka rannego i decyduje:

— Będę czuwał pierwszy. Za dwie godziny przyjdę cię obudzić. Ledwie się trzymasz na nogach. Zdrzemnij się.

François daje się łatwo przekonać, bo oczy mu się same zamykają. Wraca do swego pokoju i pada na łóżko. Jest jeszcze na tyle przytomny, żeby przebiec myślą wszystko, co zdarzyło się od jego przyjazdu do Kermoalu. Przede wszystkim uderza go fakt, że legenda o Kaplicy Przebaczenia jakby nabierała życia. Najpierw był koń... teraz jest ranny... a tego rannego koń powinien zawieźć do swego pana. To jego misja! Tylko że koń jednak nie wróci po rannego... W tym punkcie rzeczywistość zada legendzie kłam. Poza tym legenda nie tłumaczy istnienia figurki konia.

Pomału złoty koń zaczyna się mu mylić z koniem zjawą... I nagle François zapada w sen.

C. d. n.

Ilustrował BOGDAN ZIELENIEC

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. RED. Nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa, Książka, Ruch", Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa, tel. 28-09-73. Dział Wydawniczy, tel. — 29-35-52. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul. Bagatela 14, tel. 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Książka, Ruch", W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4,30, kwartalna zł 13,00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr I-1-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa, Książka, Ruch". W-wa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Prasa, Książka, Ruch". Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO I-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Prasa, Książka, Ruch", Warszawa, ul Towarowa 28. Adres redakcji: Mokotowska 24 00—561 Warszawa. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 35039.

Zam. 1738. R-83

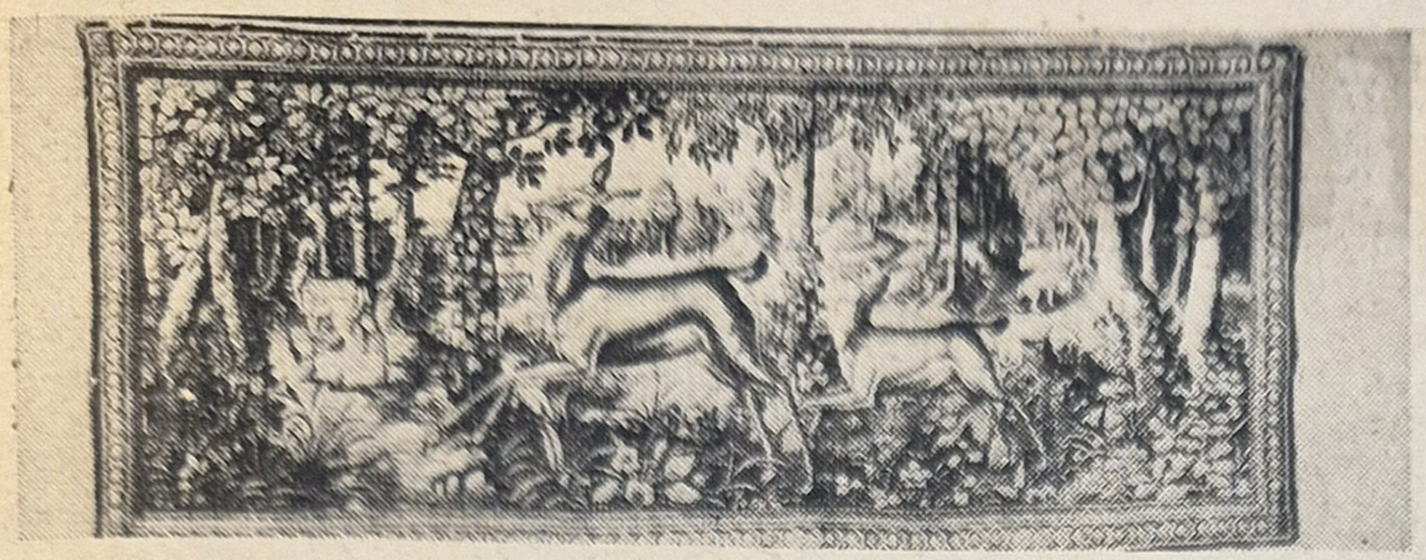

CZY ARRASY WAWELSKIE MOGĄ KRYĆ TAJEMNICE?

Ktokolwiek był na Wawelu, ten oglądał arrasy. A jeśli nawet nie był, musiał je widzieć w książkach, w albumach lub chociażby na pocztówkach.

Te wspaniałe, wielkie tkaniny sprzed około 450 lat wykonane zostały przez wybitnych mistrzów tkactwa mieszkających na obszarze dzisiejszej Belgii, na zamówienie króla Zygmunta Augusta. Król stworzył zbiór arrasów, jakiemu równego nie było może w świecie.

Dwunastometrowej długości tkane obrazy projektowali słynni ówcześni malarze. Przedstawiają one sceny biblijne, ludzi, zwierzęta, rośliny. Interesują wszystkich, a szczególnie — uczonych, historyków sztuki. Od niedawna także przyrodników.

Przez całe te kilkaset lat ludzie podziwiali arrasy tylko jako dzieła sztuki — aż do czasu, kiedy ktoś pierwszy spostrzegł, że są one i czymś więcej. Są po prostu dokumentami mówiącymi o tym, jaką wiedzę przyrodniczą mieli ludzie wówczas, gdy te tkaniny powstawały.

Zaczęto się im przyglądać bliżej. Sporządzono też listę gatunków zwierząt i ptaków, przedstawionych na tych obrazach.

I oto okazało się przede wszystkim, że owa lista jest niespodziewanie długa. Na tle pól, lasów, gór, wód i łąk przedstawione zostały wizerunki prawie 300 gatunków. Nie tylko zwierząt i ptaków pospolitych w Europie, znanych każdemu człowiekowi — jak lis, kaczka czy wiewiórka. I nie tylko znanych zwierząt afrykańskich, jak na przykład lew.

Człowiek, a raczej ludzie, którzy projektowali arrasy, posiadali znaczną wiedzę przyrodniczą. Owszem, także i oni puścili w ruch fantazję. Przedstawiono na arrasach stworzenia fantastyczne, jak na przykład skrzydlate gryfy. Ale twórcy arrasów dokładnie oddzielili fantazję od rzeczywistości i zwierzęta istniejące naprawdę, ptaki, ryby, gady, owady, przedstawili nadzwyczaj wiernie. Jest na arrasach i szary pawian zamieszkujący w południowej Afryce i nosorożec indyjski. Jest także... indyk oraz lama.

— Wielka mi rzecz, zwykły indyk... — powie ktoś.

Zwykły, ale i niezwykły. Bo przecież indyk był w tamtych czasach osobliwością! Ojczyzną jego jest Ameryka — a wszakże arrasy wykonano nie tak znowu długo po odkryciach Kolumba. Amerykańskich zwierząt i ptaków jest na arrasach jakoś niespodziewanie wiele.

Jak to się stało, że twórcy poznali je tak szybko, no i — tak dokładnie?

Oto zagadka. Ale są inne jeszcze. Trudniejsze!

Na jednym z arrasów znajduje się czarny łabędź. Na nikim nie robił szczególnego wrażenia, aż do chwili, gdy ktoś przypomniał, osłupiały, że ten ptak żyje w Australii oraz że został poznany mniej więcej w dwieście lat po (!) wykonaniu arrasów. A więc w jaki sposób projektant wzoru mógł zetknąć się z czarnym łabędziem? Zetknąć się zaś jakoś musiał, bo w jaki inny sposób przedstawiłby tak dokładnie ptaka?

I wreszcie — są na arrasach dwa gatunki ptaków nawet jeszcze bardziej zagadkowych. Pierwszy, to pewien gatunek papugi. Drugi podobny jest do bażanta. To nie są twory fantazji, ale... ptaków tych nie ma na świecie. Nie były znane nauce. Głowiono się nad tą sprawą niemało, ażeby dojść w końcu do wniosku, że są to gatunki od dawna już wymarłe. Najwidoczniej żyły jednak — choć bardzo mało egzemplarzy — w czasach, gdy arrasy powstawały.

Gdzie występowały te ptaki? W jaki sposób mogli się z nimi zetknąć autorzy obrazów na arrasach?

Oto dalsze — te największe zagadki. I wydaje się, że zanim je rozwiążemy, niemało wody w Wiśle pod Wawelem upłynie!

ADAM CHOWAŃSKI

Foto: CAF

BRAWO

SOWIZDRZAŁY Z PRUSZKOWA!

Ktoś — nie zdradzimy jak i kiedy — niezwykle tajemniczo powiadomił nas o rzeczy następującej: W Pruszkowie działają Morowe Sowizdrzały. Wyszeptał, że pewnego dnia, gdy świeciło słońce, a świat się rozweselił i nieco zazielenił, w pruszkowskich parkach, pod pomnikami, przed szkołami i domami pojawiły się dziwne postacie. Postacie te wyposażone w grabie, szpadle, miotły i pędzle zajęły się porządkowaniem miasta.

W jakiś czas potem specjalny wysłannik kapitana Błyska odwiedził Pruszków i przeszedł po śladach Morowych Sowizdrzałów. Ślady są niezwykle widoczne. Miasto aż pachnie czystością. Szczególnie starannie wysprzątany jest park Potulickich.

Dalsze ślady zawiodły przedstawiciela Sztabu BUMSu do Szkoły Podstawowej Nr 11. Na wysprzątanym podwórku dostrzegł ławki dopiero co wymalowane, pachnące jeszcze świeżą farbą. W harcówce przywitało go roześmiane słoneczko-totem zuchowej drużyny. Przywitały go także zuchy i harcerze. Wysłannik cierpliwie wysłuchał wszystkich Sowizdrzałów, którzy mówili o pracowitych dniach. Sowizdrzały te są nie tylko Morowe, ale i pracowite. Są także wytrwałe. Nie boją się trudów. Oto zuch Darek Milczarski — powiedział wysłannikowi, że gdy spóźniał się samochód mający przywieźć grabie, to zuchy i harcerze nie czekali, tylko śmiecie zbierali rękami. A potem, kiedy samochód dalej nie nadjeżdżał Darek wraz z kilkoma innymi Sowizdrzałami udał się do pobliskiego przedszkola i tam od miłej pani wypożyczył tyle grabi, ile się tylko dało.

Wysłannik proponuje, aby Darkowi i wszystkim jemu podobnym ze Szczepu im. Szarych Szeregów przy Szkole Podstawowej nr 11 w Pruszkowie kapitan Błysk udzielił pochwały. Propozycję tę wysłannik popiera dodatkowym argumentem: Obecnie Szczep na terenie miasta przeprowadza zwiad pod nazwą „Co jest do poprawienia w mojej dzielnicy".

Wysłannik kpt. Błyska
B. SKÓRSKA
Foto: R. Banach

*

Przychylam się do propozycji mojego wysłannika. Udzielam pochwały wszystkim Morowym Sowizdrzałom ze Szczepu im. „Szarych Szeregów" w Pruszkowie, którzy swoim udziałem w operacji „Robimy porządki" przyczyniają się do upiększenia swojego miasta.

Czołem!
KAPITAN BŁYSK

Komputer-liliput

ELEKTRONICZNY UKŁAD scalony spełniający wszystkie funkcje małej maszyny liczącej wyprodukowali ostatnio Amerykanie. Ma on wymiary kwadratu o boku 4,5 mm i zawiera łącznie 2.100 tranzystorów. Wykonany na tym układzie kalkulator elektroniczny o wymiarach pudełka papierosów wykonuje cztery podstawowe działania. Ich wynik wyświetlany jest na 12-cyfrowym wskaźniku.

Łotewskie automaty meteorologiczne

Przemysł łotewski rozpoczął seryjną produkcję automatycznych urządzeń meteorologicznych. Mogą one w ciągu 5 minut zebrać wszystkie podstawowe informacje o pogodzie w promieniu 30 km. Automatyczna stacja meteorologiczna rodem z Łotwy określa ciśnienie atmosferyczne, stopień wilgotności, siłę wiatru, mierzy wysokość obłoków, widoczność horyzontalną, informuje o zbliżających się gołoledziach i burzach.

KOPERNIK (11)

Tekst: H. CHMIELEWSKI
Rys.: M. KOŚCIELNIAK

1. Hieronim wybiegł ze stajni na dziedziniec za przebranym Krzyżakiem, wołając:
— Alarm! Łapać szpiega!

2. Wartownicy na murach waląc w gong powtórzyli okrzyk „Alarm". Kto jeszcze nie spał, wybiegł na dziedziniec. Krzyżak uciekał w stronę muru.

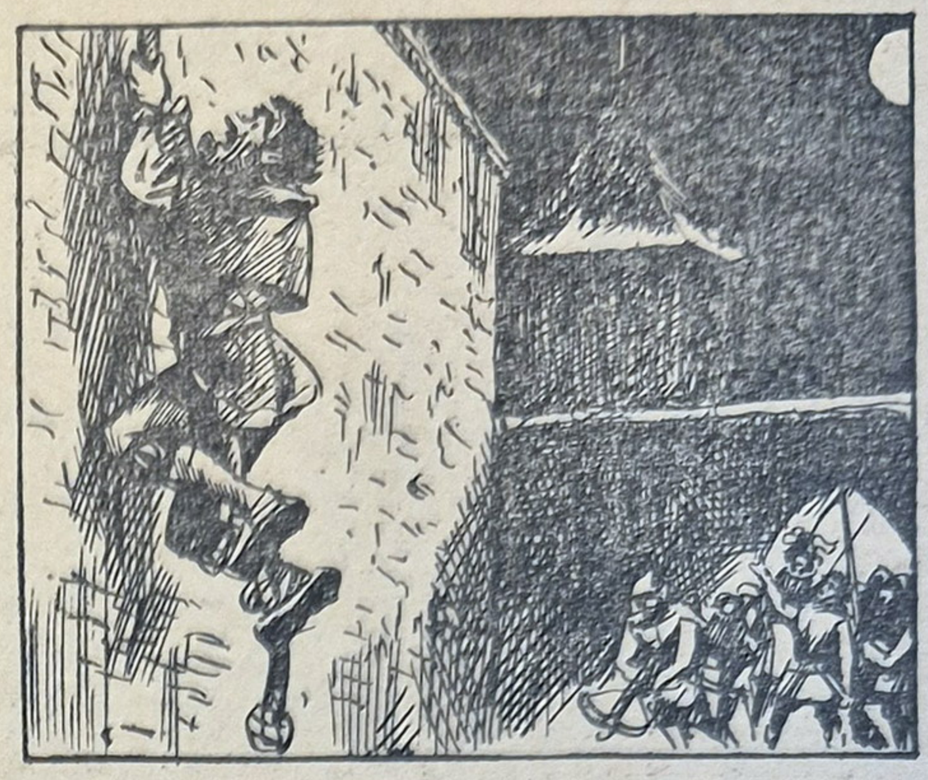

3. Szpieg dobiegł do muru, z którego zwisała lina z supłami. Zaczął się wdrapywać do góry.
— Daj mi kuszę — Hieronim wyrwał zaciężnemu kuszę i wycelował w stronę Krzyżaka, który już sięgał szczytu muru i za chwilę miał się skryć za gankiem.

4. Hieronim wypuścił strzałę, która przebiła linę nad głową Krzyżaka. Lina zaczęła pękać.
— Na dół! Bo drugą strzałę wpakuję w ciebie! — zawołał Hieronim. Tymczasem lina pękła i Krzyżak osunął się na ziemię.

5. Natychmiast otoczyli go żołnierze wrzeszcząc.
— Śmierć szpiclowi!
Ale Hieronim osłonił Krzyżaka i zawołał:
— Ludzie, on zabił mojego ojca! Jest mój! Odstąpcie!

6. — Nie jestem jak ty mordercą, który niewinnych napada, mimo że krzyż nosi. Broń się, zobaczymy, czy bez kamratów jesteś równie dzielny.

7. Na dziedzińcu ustała wrzawa, jedynie słychać było szczęk mieczy i płacz rozbudzonych dzieci. Hieronim pełen młodzieńczej zaciętości miał przewagę nad Krzyżakiem. Ten wiedział, że jeśli nawet pokonałby młodzika, czeka go sąd i żyw stąd nie wyjdzie.

8. Krzyżak tracił siły, drętwiały mu ręce. Tarcza opadała coraz niżej, a miecz tracił szybkość zwrotów. Hieronim wykorzystał moment, w którym Krzyżak się odsłonił i zadał cięcie przez piersi. Tarcza i miecz wyleciały Krzyżakowi z dłoni.

C. d. n.